

CZARNA
OPERACJA

Książki AGNIESZKI BŁOTNICKIEJ

Kiedy zegar wybije dziesiątą

Czarna Operacja

AGNIESZKA BŁOTNICKA

1 5 9 6 5 4 1 1 2 3 3 3 1 1 1
8 5 5 3 9 1 4 9 3 4 5 3 6 9 0 1
9 5 1 2 3 6 1 5 4 2 5
3 1 6 4 2 5 8 9 8 6 7 3 4 5 6 9 8
8 5 6 2 6 3 5 4 1 5 6 5 4 5 1
2 1 3 5 6 5 4 5 3 1 5 6
9 2 6 5 8 9 4 3 1 6 9 8 5 1
2 5 6 1 5 8 9 6 2 5 4 7 9 7 9 8
9 6 3 2 1 5 8 6 6 3 6 9 5 3 2 5 6 8 4 4 5
5 1 8 5 8 7 9 7 6 3 5 5 4
8 5 6 2 1 5 4 6 1 5 9 8 7 3 6 2
0 3 2 4 6 8 5 5 5 4 4 5 1 4
5 2 6 8 5 4 5 5 4 1 2 6 5 4 6 5 2

**CZARNA
OPERACJA**

Nasza Księgarnia

This edition © copyright
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2010
Text © copyright by Agnieszka Błotnicka, 2010
by arrangement with Syndykat Autorów

Projekt okładki, stron tytułowych i grafik:
Marta Weronika Żurawska-Zaręba

*Większość technologii ma świetlisty awers,
ale życie dało im rewers – czarną rzeczywistość.*

Stanisław Lem

PROLOG

Ciepłe promienie marcowego słońca padały na warszawskie ulice, topiąc resztki śniegu, którego i tak tej zimy było niewiele. Przechodnie, nieliczni jeszcze w sobotnie przedpołudnie, wyczuwając w powietrzu pierwszy oddech wiosny, rozpinali płaszcz i zdejmowali szaliki.

Kilkuletni szary opel wjechał na placyk przy Hotelu Europejskim i zatrzymał się na miejscu parkingowym tuż przy ulicy Ossolińskich. Zgasł silnik i reflektory. Po minucie z samochodu wysiadł mężczyzna po trzydziestce ubrany w szary, wełniany płaszcz. Na głowie miał czarną czapkę, tak popularną wśród roztargnionych pracowników naukowych, przemykających znanym traktem akademickim na Krakowskim Przedmieściu. Mężczyzna, ściskając pod pachą zniszczoną skórzaną teczkę, skręcił w ulicę Ossolińskich i niemal natychmiast znalazł się przy wejściu do eleganckiej restauracji U Kucharzy. Bez namysłu wszedł do środka. Zostawił płaszcz w szatni i od razu skierował do jednej z bocznych sal restauracyjnych, choć w tym królestwie smaku pojęcie „sali” nie było określeniem precyzyjnym.

Spśród warszawskich lokali restaurację U Kucharzy zdecydowanie wyróżniał sposób serwowania potraw. Jej klientów sadzano bezpośrednio w kuchni, aby osobiście mogli uczestniczyć w niezwykłym spektaklu, którego aktorami byli najlepsi kucharze, a tematem sztuki największe przysmaki kuchni polskiej: pieczona

szynka, tatar, gołąbki czy tradycyjne pyzy po warszawsku. Dla prawdziwych smakoszy i miłośników dobrej kuchni stanowiło to nie lada gratkę – wdychając aromatyczne opary, mogli jednocześnie podziwiać wirtuozerskie ruchy krzątających się przy blatach kucharzy. Większość gości zajmowała miejsca przy stolikach w głównej części restauracji – wśród garnków, pieców i szalejących kuchcików – ale dla tych, którzy woleli delektować się przysmakami na osobności, przygotowano też kilka osobnych salek. Były to pomieszczenia wyłożone białymi kafelkami, pozbawione ozdób i utrzymane w surowym, kuchennym stylu. Nikomu z gości to nie przeszkadzało. Bogaci klienci – zarówno Polacy, jak i obcokrajowcy – nie szukali bowiem wytwornego wnętrza, interesowały ich tylko i wyłącznie wykwintny smak oraz kulinarna przygoda.

Do jednej z takich salek skierował się mężczyzna ze skórzaną teczką w dłoni. Tęgi siwiejący jegomość siedzący samotnie przy dużym, szerokim stole uśmiechnął się lekko na widok znajomego.

– Marek Szulc, no proszę... A więc jednak się zdecydowałeś.

Nowo przybyły usiadł naprzeciw niego, kładąc skórzaną teczkę na sąsiednim krześle. Ruchy miał spokojne i opanowane.

– Na nic się jeszcze nie zdecydowałem – powiedział i rozejrzał się. – Nie mogłeś znaleźć dyskretniejszego miejsca?

Tęgi mężczyzna roześmiał się, nieznacznym gestem odsyłając jednocześnie nadchodzącego kelnera.

– A to nie ty powiedziałaś kiedyś: „W naszej pracy, jak w żadnej innej, idealnie sprawdza się powiedzenie, że najciemniej jest pod latarnią”?

– W n a s z e j pracy? – zdziwił się Szulc. – W mojej pewnie tak, ale przecież ty uwielbiasz pracować jak kret. Podziemia, tunele, nory...

- Nie przesadzaj... - Jego towarzysz otarł chusteczką pot z czoła. - Najlepsza knajpa, a nie mają klimatyzacji...

- Ale za to jada się tutaj, tak jak lubisz najbardziej: w kuchni.

Tęgi mężczyzna nie zareagował na uszczypliwość. Sięgnął po kartę i przebiegł wzrokiem po menu. Szulc nachylił się nagle do niego i rzekł ściszonego głosem:

- Łazisz po mieście i wypytujesz o mnie, robiąc przy tym strasznie dużo zamieszania. Chcę wiedzieć dlaczego.

Rozmówca zwlekał chwilę z odpowiedzią. Wyglądał tak, jakby nawet nie usłyszał pytania. Z zaciekawieniem wpatrywał się w kartę, jak zwyczajny klient, który przyszedł tu dla rozkośzy podniebienia.

- Ponieważ jesteś najlepszy - odparł w końcu spokojnie i odłożył menu. - Założę się, że przyjechałeś tutaj starym nissanem albo może szarym oplem, w teczce jest jakaś rozprawa naukowa lub zbiór opowiadań, bo oficjalnie robisz za nieszkodliwego idealistę, a twój zimowy płaszcz przetarty jest we wszystkich możliwych miejscach. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że trzymasz na Riwierze luksusowy jacht... Zaraz, czy to nie jest czasem model WallyPower 118?

- Koch, nie kombinuj. Czego ode mnie chcesz?

W pytaniu Szulca zabrzmiała większa stanowczość, jednak nadal bez śladu zdenerwowania.

- Może najpierw coś zjemy? Ten młody kelner nie da nam spokoju.

Agent skinął przyzwalająco głową. Zasada niezwracania na siebie uwagi przede wszystkim; ktoś, kto siedząc w restauracji, niczego nie zamawiał, z pewnością wyglądał dziwnie. Po złożeniu zamówienia u młodego kelnera w kucharskim uniformie, mężczyźni wrócili do rozmowy.

– Jak powiedziałem, jesteś najlepszy – powtórzył z naciskiem Koch. – A ja kogoś takiego potrzebuję.

– Dobrze wiesz, że już nie pracuję.

– Wiem, a jednak spróbuję cię przekonać. Sprawa jest wyjątkowa.

– Wątpię.

Koch zwlekał chwilę z wyjaśnieniami. Splótł dłonie i uważnie wpatrywał się w siedzącego naprzeciw Szulca.

– Wiesz, co to jest *pinctada margaritifera*? – zapytał w końcu i od razu uśmiechnął się pod nosem.

Dobrze wiedział, jaką otrzyma odpowiedź.

– Tak się nazywa małż produkujący czarne perły – odrzekł spokojnie Szulc. – Przyszedłeś zrobić mi egzamin z mięczaków, czy może postanowiłeś na starość zostać jubilerem?

Koch ponownie przetarł czoło chusteczką.

– Nie chodzi o perły. Nie obchodzą mnie paciorki i czarne kulki fluorescencyjne. Chcę ci tylko coś wyjaśnić.

– Mów – zgodził się Szulc.

– Ta perła należy do najdroższych w świecie. Istnieją oczywiście hodowle czarnych pereł, na przykład na Tahiti, ale nie osiągają takich cen, jak te, które powstają w warunkach naturalnych. Naturalna czarna perła to rarytas. Wyobraź sobie teraz, że stajesz się posiadaczem pewnej... – Koch przerwał i się zastanowił.

– Powiedzmy... receptury albo inaczej: schematu produkcyjnego naturalnych czarnych pereł... Już nie podrabiasz rzeczywistości, ty ją tworzysz... Tworzysz swoją własną żyłą złota...

– To nierealne.

– W przypadku pereł, być może. Ale chodzi o coś innego. O coś, za co cały świat dałaby się teraz zabić. Z pewnością można by to nazwać czarną perłą technologii.

– Wiesz, że jestem zamożny. Nie szukam pieniędzy.

- Ale lubisz wyzwania. A to jest wielkie wyzwanie. Jeśli zaś chodzi o pieniądze... - Na twarzy Kocha zagościł przewrotny uśmiech. - Nigdy nie ma się ich tyle, żeby nie chcieć więcej, prawda?

- Ile? - spytał spokojnie Szulc.

- Co ile? - nie zrozumiał Koch.

- Ile dostanę za ten schemat.

Na twarzy Kocha pojawił się wyraz rozbawienia. Machinalnie wygładził obrus na stole.

- Jesteś nie tylko najlepszy, ale i konkretny - pochwalił z uznaniem, a następnie wziął głębszy oddech. - Proponuję ci cztery miliony dolarów.

Szulc nawet jednym gestem czy drzeniem powieki nie dał po sobie poznać, że oferta zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie.

- Jest tylko pewien problem - zastrzegł Koch, spoglądając przenikliwie na Szulca. - Nie mamy zbyt wiele czasu, cała akcja musi się odbyć mniej więcej za trzy miesiące.

- W jakim kraju ma być przeprowadzona?

- Mam rozumieć, że się zgadzasz? - upewnił się Koch przed udzieleniem odpowiedzi.

- Jestem człowiekiem do wynajęcia. Ale nie podejmuję się niczego bez poznania szczegółów - wyjaśnił Szulc beznamiętnym tonem.

Koch odchylił się na krześle, splótł dłonie na brzuchu i zmrużył oczy w uśmiechu.

- Pytasz o miejsce akcji... Może wreszcie coś cię zaskoczy. Ma się odbyć tutaj, w Polsce. Mam nadzieję, że po kilku latach pracy w tym zawodzie wyzbyłeś się już patriotycznych sentymentów?

- Nie miewam żadnych sentymentów - rzucił chłodno agent.

Koch nachylił się do Szulca i zniżył głos.

- To dobrze, bo zadanie jest bardzo trudne, i jestem przekonany, że tylko ty mu podołasz.

Szulc był zbyt doświadczonego graczem, aby dać się złapać na tanie pochlebstwo. Uśmiechnął się pod nosem i spojrzął na Kocha z wyższością.

- Daruj sobie słowne sztuczki. „Jesteś najlepszy”, „tylko ty mu podołasz”... Tak kadzić możesz nowicjuszowi, mnie w ten sposób nie przekonasz.

- A jak? - zapytał natychmiast Koch, a w jego głosie zabrzmiała nieoczekiwana twardość.

Wzrok stał się lodowaty, zniknęła gdzieś towarzyskość. Tak, bez wątplenia rumiany i poczciwie wyglądający Koch należał do niebezpiecznych mężczyzn.

- Może już się zgodziłem? Może zgodą było samo przyjście do tej restauracji? - odparł wymijająco Szulc.

Młody kelner, niosąc zamówione dania, zmierzał właśnie w ich stronę. Na twarzy Kocha ponownie pojawił się jowialny, dobroduszny uśmiech.

- To właśnie chciałem usłyszeć. Szczegóły operacji i wszystkie potrzebne informacje otrzymasz niebawem.

Następnie odsunął się od stołu, pozwalając kelnerowi na ustawienie talerzy z potrawami, i zawołał:

- Co za pyszności! To naprawdę najlepsza restauracja w mieście!

Kelner skłonił się uprzejmie. Koch z zadowoleniem przyglądał się swojemu talerzowi, na którym podano mu królika w wino-śmietanowym sosie, z kluskami kładzionymi i marchewką z imbirem. Ale jego radość nie była związana z apetycznie wyglądającą potrawą. Koch wiedział, co oznaczała zgoda Szulca: perspektywa zdobycia fortuny nagle stawała się realna.

ROZDZIAŁ I



Na ten dzień trzynastoletni Janek Karski czekał przez cały rok. Nauczyciele z hukiem zamykali dzienniki i z ulgą w głosie ogłaszali koniec roku szkolnego. Stan euforii owej chwili można porównać z radością po opuszczeniu strzeżonej twierdzy więziennej lub ze szczęściem z odzyskanej niepodległości. Tysiące uczniów miało ochotę wybiec z kolorowymi sztandarami na ulice, ogłaszając całemu światu koniec męczarni i zmagañ z zawiłą materią wodorotlenków, płazińców, obleńców i lektur obowiązkowych.

Mimo tego radosnego czasu Janek z jakiegoś powodu włókł się do domu ze smętną miną, kopiąc przed sobą kawałek cegły. Tym razem nie chodziło o świadectwo – w ciągu ostatniego roku cudem udało mu się podciągnąć oceny z największych zmór: matematyki oraz przyrody i kilku „podzmór”: geografii, fizyki, chemii i biologii. Nie było więc źle i powrót do domu nie groził wojną. Powód jego markotnego nastroju był zupełnie inny: dla Janka koniec roku szkolnego wcale nie oznaczał początku wakacji. Na drodze do jego wolności i przygody stanęła bowiem przeprowadzka.

Tylko ktoś, kto przeżył ją choć raz w życiu, mógł zrozumieć aktualny stan duszy chłopca. Od dwóch dni jego mieszkanie przypominało stajnię Augiasza, ziemię po wstrząsach

tektonicznych, pole bitwy po przegranej kampanii. Rodzice kupili większe mieszkanie, dotychczasowe zostało sprzedane i w ciągu dwóch tygodni trzeba było dokonać przerwania wszystkich mebli, książek, ubrań oraz tysiąca drobiazgów z jednego miejsca Warszawy w drugie. Najgorsze były te drobiazgi. Wyłaziły z każdego kąta domu, jak spiskowcy uśpieni do tej pory magicznym zaklęciem. Gdy tylko Katarzyna Karska, mama Janka, uporała się z jedną górą papierzyśk, to natychmiast pojawiała się następna, a wystarczyło zacząć porządkować na pierwszym lepszym regale, by się przekonać, że skrywa on niespotykaną wprost ilość szpargałów, o których istnieniu nikt z domowników nie miał pojęcia. Pan Karski najchętniej pozbyłby się ich lekką ręką i bez zbędnych sentymentów, ale jego żona stanowczo się temu sprzeciwiała. Od kilku dni pracowicie układała przedmioty w szarych pudłach, przekonując siebie i wszystkich wokół, że na pewno jeszcze do czegoś się przydadzą. Pan Karski, nie chcąc pogarszać i tak już napiętej atmosfery domowej, nie zamierzał dociekać do czego. Tak czy inaczej, w ciągu kilku dni przeprowadzka zamieniła dom Janka w królestwo tektury wypełnionej książkami, porcelaną i „czymś, co może jeszcze kiedyś do czegoś się przyda”. Wakacje musiały poczekać do czasu, aż ten kompletny chaos zostanie w końcu opanowany.

Janek minął antykwariat w Alejach Ujazdowskich. Stąd do domu przy ulicy Mokotowskiej było już niedaleko. Chłopak lubił swoje stare mieszkanie, które – chociaż niewielkie i zlokalizowane w oficynie – miało niepowtarzalny klimat. Wprost z bramy, w której znajdował się niewielki zakład szewski, reklamujący się zawieszonym przy witrynie butem, wchodziło się na utrzymane w brzoskwiniowym kolorze podwórko z ładnymi, staroświeckimi lampeczkami umocowanymi przy drzwiach

klatek schodowych. Zawieszony na wysokości dwóch metrów but służył często Jankowi do ćwiczeń wysokoków. Jeśli udało mu się do niego doskoczyć i trącić go czubkiem głowy – dzień był udany. Poza tym mieszkanie znajdowało się w idealnym punkcie miasta; w ciągu jednej chwili mógł się znaleźć pod pomnikiem Witosa, gdzie godzinami terkotał z kumplami na deskorolce, w dwie minuty później docierał do parku Ujazdowskiego, a w kilka następnych do kompleksu rekreacyjnego Agrykola, ulubionego miejsca sparingów piłkarskich. Perspektywa opuszczenia przytulnego mieszkania i pożegnania tych wspaniałych terenów przygnębiała chłopca jeszcze bardziej. Był pewien, że na Kabatach, gdzie mieli niebawem zamieszkać, niczego atrakcyjnego nie znajdzie. Do tego wszystkiego drażniła go nieskazitelna biel koszuli, cisnęły nowe buty, a najgorsze, że wiedział, co go czeka, kiedy tylko przekroczy próg domu. Nie pomylił się.

– O, Janek, dobrze, że jesteś! – zawołała mama na widok syna. – Łap się za torby ze śmieciami. Nie wiem, skąd biorą się te wszystkie rzeczy! Czuję, że dzisiaj znowu zrobimy kilkanaście kursów do śmietnika...

Stojąca w przedpokoju mama miała na sobie oblepiony kocimi łkawkami stary dres i wyglądała, jakby została wyrwana z jakiegoś transu. Gdzieś za jej plecami, w głębi mieszkania, ojciec z obłądem w oczach miotał się z kolejną partią książek, którą zdjął z regału.

– Zdałeś? – spytała mama, kiedy chłopak sięgnął po dwa czarne worki wypełnione po brzegi tym, co już na pewno nigdy do niczego się nie przyda.

– Zdałem – przytaknął bez uśmiechu.

– Bravo! – zawołał ojciec z drugiego pokoju. – Dzielny syn!

– Zdałeś dobrze, średnio czy przeczołgałeś się do następnej klasy? – spytała czujnie matka.